

PREMIERA INSCENIZACJI „BITWY POD GRUNWALDEM”

Teatr Studio przegrał z prozą Borowskiego

Tomasz Mościcki

krytyk teatralny

Mamy pierwsze przedstawienie w Teatrze Studio za dyrekcji Bartosza Zacharkiewicza. Na scenie w Malarni odbył się powrót literatury niegdyś ważnej, dziś już na poły zapomnianej. Marek Fiedor zaprezentował swoją adaptację „Bitwy pod Grunwaldem”, jednego ze słynnych opowiadań Tadeusza Borowskiego.

To druga próba zmierzenia się z tą prozą, po „Krajobrazie po bitwie” Andrzeja Wajdy. Tamto dzieło powstawało w innych okolicznościach, pamięć o wojnie w latach 70. była jeszcze świeża, film wywołał wówczas dyskusję. Dziś gorzka opowieść Borowskiego o ludziach zamkniętych w przejściowym obozie, wyzwolonych od widma śmierci, ale wciąż nie wolnych, niesie ze sobą inne pytania. Mniej może istotny jest wątek rozliczenia z polskością, tej narodowej tromtadracji wśród resztek zarcia, bałaganu i ludzkiego łajna, co zresztą Fiedor bardzo intensywnie eksponuje w swojej inscenizacji. Wątek mszy w obozie dla dipisów (jak zwano wówczas tych oswobodzonych), lecz wciąż uwięzionych ludzi, obozowego hurrapatriotycznego teatru, odbębniania tekstu przez Cygana siedzącego ze

Nowa adaptacja prozy Borowskiego Marka Fiedora to niestety szelest martwego papieru. Choć ciekawa wizualnie, to z nudnymi dialogami i aktorstwem

spuszczonymi gaciami na klozetce miał szokować – dziś wypadł jednak zdecydowanie blado. Rozdrapywanie ran zwyczajnie boli coraz mniej. Czego przykładem jest właśnie przedstawienie Fiedora.

Ciekawszymi wydaje się do dziś inny temat tego poobozowego opowiadania – ludzka psychika przeorana przez lata niewolnictwa, człowiek bojący się wolności, odrzucający ją w imię przeżycia choćby na najbardziej parszywym poziomie. Gdyby ta ciekawa wizualnie inscenizacja skupiła się na tym właśnie problemie, należałoby uznać ją za udaną próbę przywrócenia Borowskiego naszej współczesnej świadomości.

A były do tego podstawy. Początek spektaklu niósł nadzieję. Symboliczne przejście od koszmaru kacetu do nudy amerykańskiego obozu dipisów, grupa mężczyzn truchtająca po oświęcimsku i na naszych oczach zmie-

niająca obozowe pasiaki na poesesmańskie mundury, wreszcie dawno zarzucona praktyka umieszczania scenicznej akcji w realiach epoki – czyli powrót do traktowania widzów jak inteligentnych ludzi czytających sceniczne znaki. Mogliśmy zobaczyć spektakl poruszający i ważny.

Tak się jednak nie stało. Nie tylko z winy Fiedora, który swoją inscenizację ubogacił kilkoma reżyserskimi grepsami (scena śmierci Żydówki Niny potworzona trzy razy w identyczny sposób nie znaczy literalnie nic!), ale przez samo wykonanie tej „Bitwy pod Grunwaldem”. Młody zespół aktorów przez cały nie-

mał czas przedstawienia gra tak, że ma się wrażenie, że to nie rozmowa, ale szelest martwego papieru. W pewnej chwili łapiemy się nawet na ryzykownej refleksji „A może ten Borowski tak zetlał, że dziś nic już nie znaczy?”, ale prawda jest chyba inna. W tym teatrze postaci się nie zbudowały, a prawdziwy sceniczny dialog jest prawdziwą rzadkością. Mści się kilka ostatnich lat – bokiem wylazi tzw. ogólne granie w telenowelach, mienie telewizyjnej waty, a także teatr, który całkiem niedawno porzucił to, co było naszą siłą: właśnie dialog, konstrukcję prawdziwych ludzi na scenie. Te osiągnięcia zarzucono i w chwili, gdy

można było do nich sięgnąć, okazało się, że najmłodszym aktorom, łącznie z grającym Tadką (porte parole samego Borowskiego) Krzysztofem Skoniecznym z warszawskiej Akademii Teatralnej, postawiono zadania ponad ich możliwości. I nie można mieć o to pretensji do aktorów. Taki mamy trend. Ostatni Paszport „Polityki” dla Michała Zadary wskazuje drogę, którą dalej mamy dążyć. Borowskiego się na niej raczej nie spotka.

„Bitwa pod Grunwaldem” wg Tadeusza Borowskiego. Scenariusz i reżyseria: Marek Fiedor. Teatr Studio w Warszawie. Premiera 12 stycznia 2008 r.



Scena z przedstawienia „Bitwa pod Grunwaldem” w reż. Marka Fiedora